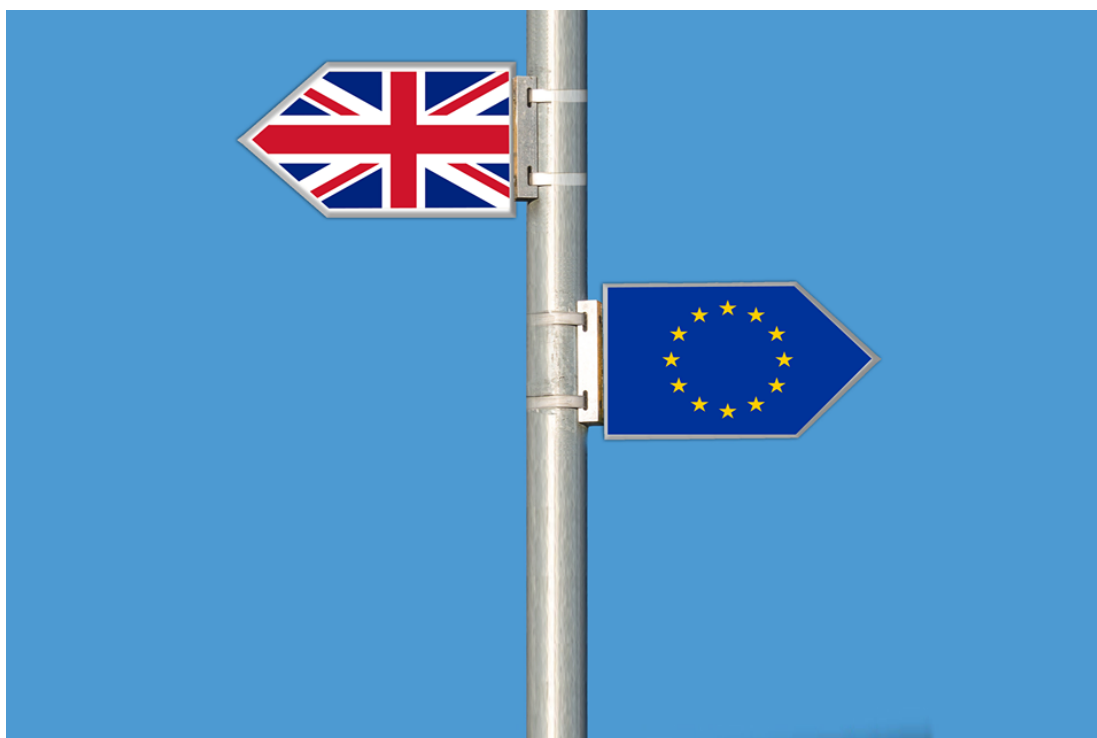


WYBORY W WIELKIEJ BRYTANII: BREXIT ROZWIĄZAŁ STARY PARLAMENT. CZY NOWY PARLAMENT ROZWIĄŻE PROBLEM BREXITU? – ROZMOWA Z KATARZYNA SOBIEPANEK

Michał Banasiak

26 LISTOPADA 2019



Źródło: <http://ine.org.pl/wybory-w-wielkiej-brytanii-brexite-rozwiazal-stary-parlament-czy-nowy-parlament-rozwiaze-problem-brexitu-rozmowa-z-katarzyna-sobiepanek/>

Od referendum brexitowego, w którym Brytyjczycy opowiedzieli się za opuszczeniem Unii Europejskiej minęło ponad 1200 dni. Okazało się to okresem za krótkim, żeby wyjść ze struktur Wspólnoty, ale wystarczająco długim, by dwukrotnie zmienić szefa rządu i dwa razy rozpisać przedterminowe wybory. Czy wyniki tych grudniowych pozwolą Brytyjczykom na doprowadzenie brexitu do końca? A może odwrócą jego losy i sprawią, że mieszkańcy Wysp ponownie pójdą do urn, głosować w drugim referendum? W środku wyborczej kampanii odpowiedzi na te pytania szukamy z dziennikarką Katarzyną Sobiepanek, autorką twitterowego profilu @UKpoliticsPL, na którym relacjonuje i objaśnia zawiłości brytyjskiej polityki.

Michał Banasiak: Za miesiąc będziemy już po wyborach i po pierwszym posiedzeniu Izby Gmin. Czy dzisiaj możemy powiedzieć, że będziemy też bliżej rozwiązania sprawy brexitu?

Katarzyna Sobiepanek: Tylko wtedy, gdy któraś ze stron uzyska zasadniczą większość. Jeśli takiej nie będzie, to najpierw będzie zastanawiać się czy Boris Jonhson zdoła dogadać się z Partią Brexitu albo z północnoirlandzkimi unionistami i ich głosami przeforsować dotrzymanie obecnego terminu brexitu.

Jeśli okaże się, że to opozycja zdobędzie większość mandatów, to pewnie powoli będziemy przyzwyczajając się do myśli o drugim referendum, bo Partia Pracy, Szkocka Partia Narodowa, Walijszczy z Plaid Cymru, Liberalni Demokraci i Zieloni mówią o nim w swoich programach. Ale tu znowu rodzi się szereg wątpliwości, bo jeśli referendum to jak będzie brzmieć pytanie? Czy Partia Pracy rzeczywiście – jak zapowiada – byłaby w stanie w zaledwie trzy miesiące wynegocjować nową umowę z Brukselą? Niezależnie od tego jak odpowiemy sobie na te pytania, to ostatecznie na każde rozwiązanie musi się zgodzić parlament. Wybory mają więc szansę coś zmienić. Ale wcale nie muszą.

Drugie przedterminowe wybory parlamentarne na przestrzeni 2,5 roku, to po prostu kolejny odcinek sagi pt. "Brexit" czy mimo wszystko można je traktować jako osobne wydarzenie?

Wyborami typowo „brexitowymi” były te majowe, europejskie. W wyborach krajowych haseł jest więcej. Zwłaszcza partie opozycyjne podnoszą problemy związane z polityką społeczną czy służbą zdrowia; na odpowiednikach naszych SORów rosną kolejki – kryzys jest widoczny i się nasila. Ale chociaż spraw i problemów wewnętrznych jest dużo,

na pierwszym planie pozostaje brexit. Na tym, żeby to był temat numer jeden zależy przede wszystkim Borisowi Johnsonowi.

A więc, przynajmniej po części, te wybory będą testem nastrojów społecznych dotyczących brexitu?

Upraszczaając, można powiedzieć, że jeśli Boris Johnson będzie miał po wyborach parlamentarną większość, to do 31 stycznia 2020 roku Wielka Brytania formalnie opuści Unię. Jak mówi sam Johnson, każdy kandydat Partii Konserwatywnej jest za dotrzymaniem tego terminu. Jeśli jednak torysi nie uzyskają 326 mandatów, to najprawdopodobniej czeka nas opozycyjny rząd mniejszościowy, sformowany przez kilka partii opowiadających się za drugim referendum. Podstawowe pytanie w kontekście tych wyborów brzmi zatem: deal Johnsona czy drugie referendum?

Sondaże wskazują, że drugie referendum wcale nie musiałyby dać innego wyniku niż pierwsze.

Nie musi. Trzeba jasno powiedzieć, że nawet gdyby doszło do drugiego referendum, to wcale nie zatrzymałoby brexitu, ale mogłoby spowodować wystąpienie na bardziej miękkich zasadach, tj. na przykład pozostanie w unii celnej z UE lub w pewnych elementach wspólnego rynku. Panuje przekonanie, że samodzielnie Wielka Brytania może poradzić sobie lepiej. Przez dziesięciolecia, zwłaszcza pod rządami Partii Konserwatywnej, niepowodzenia gospodarcze czy polityczne zrzucano na Unię Europejską. Taka narracja sprzedawała się z powodu sentymentów do czasów brytyjskiej świetności i przekonania, że Wielka Brytania może sobie radzić lepiej niż cała Unia razem wzięta. Niektórzy byli przed referendum i są dalej przekonani, że tak będzie. Inni chcą po prostu spróbować innej drogi. Jest też grupa, która nie do końca wie czy po brexicie będzie lepiej, ale uważa, że trzeba do niego doprowadzić, bo taki był wynik głosowania.

Problem polega na tym, że Brytyjczycy nie do końca wiedzą czym jest Unia Europejska. Jeśli zapytać ich o wspólny rynek czy unię celną, najczęściej nie wiedzą o co chodzi. To zresztą nie tylko problem brytyjski, bo Unia to skomplikowana organizacja i wiedza o jej działaniu jest trudna do przekazania. Akurat w Wielkiej Brytanii argumenty „za” brexitem padły na podatny grunt społeczny i trafiły w ręce polityków o zacięciu ideologicznym, dla których argumenty gospodarcze są mniej istotne. Najpierw chcą niezależności i samodzielności, a później się zobaczy.

Deputowani do Izby Gmin są wybierani w jednomandatowych okręgach wyborczych. W niektórych, żeby zwiększyć szanse

na pokonanie rywali, doszło do zawiązania formalnych i nieformalnych sojuszy – podobnie jak u nas w przypadku wyborów do senatu i „paktu opozycyjnego”.

Liberalni Demokraci, walijscy nacjonaliści z Plaid Cymru i Zieloni zawiązali pakt „*Unite to Remain*” („Zjednoczeni za pozostaniem”), w ramach którego w 60 okręgach nie wystawią kandydatów przeciwko sobie. To rzeczywiście ma pomóc w pokonaniu Partii Konserwatywnej i wprowadzeniu do Izby Gmin większej liczby posłów opowiadających się za drugim referendum. Trudno powiedzieć jak to zadziała, bo w Wielkiej Brytanii lojalność i przywiązanie do konkretnej partii, czy nawet kandydata, są dalece silniejsze niż w Polsce. Jeśli ktoś przez całe życie głosował na Liberalnych Demokratów, a teraz nie będzie ich kandydata na liście, to niekoniecznie musi zagłosować na Zielonych dlatego, bo tak ustalili liderzy partii.

Nieformalne porozumienie jest też po stronie zwolenników opuszczenia Unii. W 317 okręgach Partia Brexitu nie zgłosiła kandydatów tłumacząc się tym, że nie chce odbierać poparcia dominującej w nich Partii Konserwatywnej. Trudno jednak uwierzyć, że Nigel Farage jest tak dobroduszny i że za tą decyzją nie stoją inne pobudki.

Zacznijmy od tego, że sam Farage nie startuje. Pewnie znowu by się nie dostał, co wizerunkowo byłoby bardzo bolesne. Jego ugrupowanie osiągnęło co prawda bardzo dobry wynik w wyborach do Parlamentu Europejskiego, ale one jednak rządzą się innymi prawami. Partia Brexitu nie ma tradycyjnego zaplecza wyborczego, nie ma maszyny partyjnej potrzebnej do organizacji ogólnokrajowej kampanii i nie ma aż tylu pieniędzy – a przecież kampania to olbrzymie koszty. Nie ma też wystarczającej liczby kandydatów. Te czynniki, w połączeniu z realną oceną własnych szans, złożyły się na to, że Partia Brexitu będzie miała kandydatów w mniej niż połowie okręgów.

To z góry skazuje ich na porażkę?

Nigel Farage będzie szczęśliwy, jeśli wprowadzi do Izby Gmin nawet jednego, czy dwoje posłów. Jeżeli większość Partii Konserwatywnej – na którą się zanoszą – będzie minimalna albo zabraknie do niej kilku głosów, to Partia Brexitu będzie miała szansę wejść w buty północnoirlandzkiej Demokratycznej Partii Unionistycznej (DUP) z ostatniej kadencji, czyli być języczkiem u wagi w głosowaniach dotyczących brexitu. Dla nich byłby to ogromny sukces wizerunkowy i impuls do rozwoju partii. Natomiast na spektakularny wynik nie ma co liczyć, bo wyborcy, którzy w wyborach

do Parlamentu Europejskiego głosowali na Partię Brexitu – a wcześniej na UKIP – teraz oddadzą raczej głos na kandydatów Partii Konserwatywnej.

W Polsce, niezależnie od szczebla wyborczego, poparcie dla partii rozkłada się dosyć podobnie. W Wielkiej Brytanii różnice potrafią być duże. To oznacza, że brytyjski wyborca jest bardziej świadomy i oddaje głos tak, żeby miał on jak największą siłę sprawczą?

Ostatnie i przedostatnie wybory europejskie były dla Brytyjczyków okazją do wyrażenia nastrojów wobec integracji europejskiej. Ale nie zastanawiali się jaka powinna być europejska polityka rolna czy energetyczna albo czy chcą większej czy mniejszej integracji. Głosowali albo „za” albo „przeciw” Unii w ogóle.

W wyborach krajowych decydują inne tradycje i inne motywy, bo dotyczą one spraw wewnętrznych, a więc chociażby całej polityki społecznej. Poza tym formuła tych wyborów sprawia, że w każdym z 650 okręgów toczy się indywidualna bitwa. Wyborcy głosują oczywiście na partie, zwracają uwagę na liderów, ale popierają też konkretnych, związanych z danym okręgiem kandydatów. Tego nie ma w wyborach europejskich, w których funkcjonuje inna, dla wielu Brytyjczyków wciąż niezrozumiała ordynacja. Nie ma w nich takiego kontaktu z wyborcą i indywidualnej odpowiedzialności europoła, co przekłada się na wyniki.

JOWy sprzyjają identyfikacji wyborców z konkretnym kandydatem, ale liderzy partii nie próżnują – na czas kampanii zaplanowanych jest kilkanaście debat telewizyjnych. Jak duży może być ich wpływ decyzyje wyborców?

W zasadzie tylko raz zdarzyło się, że debata faktycznie wpłynęła na nastroje wyborcze. W 2010 roku lider Liberalnych Demokratów Nick Clegg wypadł na tyle dobrze, że ukuto pojęcie *cleggmanii*. Jego partia uzyskała na tyle dobry wynik, że po wyborach stworzyła z torysami rząd koalicyjny. Debaty to szansa przede wszystkim na wzrost rozpoznawalności ugrupowań innych niż Partia Pracy i Partia Konserwatywna. To o tyle istotne, że w 2017 roku na te dwie partie oddano w sumie ponad 80% wszystkich głosów. Wcześniej obserwowaliśmy trend odchodzenia od głosowania na torysów i laburzystów. Teraz to się zmienia.

Charyzma liderów tych partii odgrywa w tym dużą rolę?

Mamy do czynienia z dwoma wyrazistymi, ale bardzo różnymi postaciami. Boris Johnson jest nazywany *Marmite politician*. Marmite to taka pasta do smarowania kanapek, którą Brytyjczycy albo lubią albo nienawidzą – Johnson polaryzuje równie mocno. Corbyn, w zestawieniu z Johnsonem, pozycjonuje się jako ten poważniejszy, racjonalniejszy. Jego odbiór jest dziś zupełnie inny niż dwa lata temu, kiedy jeździł po całym kraju, spotykał się z ludźmi; popularne było wtedy hasło: „oh, Jeremy Corbyn”. Ale, jak już wspomniałam, Brytyjczycy przy urnie nie kierują się jedynie sympatią do liderów.

Najpierw Theresa May, a po niej Boris Johnson, wielokrotnie podkreślali, że realizacja wyników referendum brexitowego to test wiarygodności dla klasy politycznej. Co sprawia, że mimo tak długiego, skomplikowanego i męczącego procesu, Brytyjczycy wciąż chcą – według sondaży poparcia – żeby to torysi mieli władzę?

Partia Konserwatywna ma bardzo dobry i bardzo skoncentrowany na brexicie pijar. Cała kampania Borisa Johnsona w czasie wyborów lidera konserwatystów skupiała się właśnie na kwestii brexitu. Ultrasceptycy mówili: ufamy mu; nie wiemy tylko czy parlament pozwoli mu doprowadzić tę sprawę do końca.

Torysi tak mocno nastawili się na realizację brexitu, że doprowadziło to do wewnątrzpartyjnych podziałów i odejścia niektórych polityków, jak Philip Hammond, Rory Stewart czy David Gauke. Zostali najbardziej zdeterminowani – zwolennicy narracji, że po pierwsze do brexitu musi dojść, po drugie szybko, a po trzecie nieważne na jakich zasadach – byle to dopiąć.

Niezależnie od tego czy i jak zmieni się układ sił w brytyjskim parlamencie, dalsze rozmowy o opuszczeniu Wspólnoty Wielka Brytania będzie prowadzić z nowymi władzami Unii. Wpłyne to na pozycję negocjacyjną nowego rządu?

Unia nie zmieni swojego stanowiska i nie będzie się spieszyć do brexitu, jeśli miałby on być bezumowny. To oznacza, że jeśli Izba Gmin w nowym składzie nie zdoła dopełnić formalności do 31 stycznia, kwestia kolejnego przedłużenia pozostanie otwarta. Oczywiście Francja będzie mówić, że to niemożliwe, że kolejny raz już nie można – ale w końcu też się najpewniej zgodzi.

Natomiast cały czas mówimy tylko o pierwszej fazie – fazie wyjścia. A po niej rozpocznie się niemniej ciekawy etap negocjowania przyszłych relacji. I tu znów wracamy do obietnic trwającej kampanii wyborczej. Patia

Konserwatywna zapowiada, że okres przejściowy nie zostanie przedłużony i potrwa tylko do końca 2020 roku. Do tego czasu ma zostać wynegocjowana podstawowa umowa o wolnym handlu z Unią, wzorowana na kanadyjskiej CETA. Ale rok to w przypadku takiego porozumienia mało czasu. Może z perspektywy ekonomicznej byłoby to możliwe, ale wszystko będzie musiał przyjąć brytyjski parlament, Parlament Europejski, parlament państw członkowskich, więc znów rodzi się problem polityczny. Jedni mówią, że okres przejściowy powinien trwać tak długo, aż zostanie podpisana umowa. Boris Johnson stoi na stanowisku, że od Unii można oddzielić się na zasadach WTO, czyli de facto doprowadzić z opóźnieniem do twardego brexitu. Pytań, wątpliwości i problemów wcale nie będzie mniej niż jest teraz, więc nowe władze Unii będą miały sporo okazji żeby się wykazać.



Program Rozwoju
Organizacji
Obywatelskich
na lata 2018-2030
PROO



*SFINANSOWANO PRZEZ NARODOWY INSTYTUT WOLNOŚCI – CENTRUM
ROZWOJU SPOŁECZEŃSTWA OBYWATELSKIEGO ZE ŚRODKÓW PROGRAMU
ROZWOJU ORGANIZACJI OBYWATELSKICH NA LATA 2018-2030.*



O AUTORZE

Michał Banasiak

Współpracownik Instytutu Nowej Europy. Były dziennikarz TVP 3 Łódź i wysłannik redakcji zagranicznej TVP. Absolwent stosunków międzynarodowych i studiów wschodnich Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Kontakt:

michalbanasiak@hotmail.com

<https://twitter.com/BanamiChalsiak>